

Wycieczka szyta dla dziecka

Żyło się pięknie we własnej przyczepce. Było się wożonym, było się dogładanym, było się chronionym przed chłodem i deszczem. Nieważne były górki i wzniesienia, nieważne, czy asfalt, czy żwir pod kołami. Można było uciąć sobie drzemkę, zaśpiewać piosenkę lub poprzekładać zabawki w swoim małym królestwie. I nagle to wszystko się skończyło.

Tekst i zdjęcia Sonia Pańta

Bornholm – zresztą jak cała Dania – to raj rowerzystów. Ta mała wyspa to też doskonały teren treningowy dla młodych adeptów dwóch kółek. Spokój, cisza i puste drogi. Wiele dróg przeznaczonych tylko dla rowerów. Kierowcy, którzy pojawiają się na pozostałych, traktują cyklistów z najwyższą powagą i rozważą. Dominują tereny płaskie, zaś górki wznoszą się delikatnie. Jest też wyjątkowo urokliwie, z jednej strony błękit morza, z drugiej – żółte zboża, pośrodku zielone la-

sy. Dysponując kilkoma dniami, można Bornholm objechać dookoła. Wcale jednak nie trzeba, jeśli ktoś nie daje rady. I właśnie to miejsce uznaliśmy za idealne na rowerową inicjację naszej sześciopółlatki.

Przygotowania rozpoczęliśmy odpowiednio wcześniej. Po pierwsze, sprzedaliśmy przyczepkę, żeby nas nie kusiło. Po drugie, zakupiliśmy rower. Nowa zabawka zawsze daje szczęście, ale ta wiązała się z pewnymi wyzwaniem. Pierwsze to koła o średnicy 21 cali. Drugie – przerzutka. Trzeba było kilometrów, by Ma-

rysia zrozumiała, po co to i jak działa, i kolejnych kilometrów, by wyrobiła sobie nawyk jej używania. Zostało jeszcze jedno, być może największe wyzwanie – przestawienie myślenia na tryb „teraz trzeba jechać”. Czy nasza kilkulatka temu podoła? To miało się okazać dopiero w drodze. Po naszej stronie było zadbanie o to, by trasa nie zniechęcała, a pedałowanie nie było wyczerpującym zadaniem. To musiała być dobra zabawa, odkrywanie, fajne doświadczenie, o którym można opowiedzieć koleżankom i kolegom. ▶

Jazda wzdłuż zachodniego wybrzeża Bornholmu jest kojącym doświadczeniem



Klasyczna duńska zabudowa w malowniczym Gudhjem

Plan z grubsza

Na wyspę dostaliśmy się promem pasażerskim z Kołobrzegu, na którym można przewozić rowery. Czterogodzinna sesja usypiającego bujania minęła w okamgnieniu. Jeszcze przed południem stanęliśmy na lądzie, w portowym Nexø. Odzyskaliśmy rowery, przypiiliśmy sałki i mogliśmy ruszyć. Marysia rozpoczęła swoją pierwszą rowerową przygodę na własnych dwóch kółkach. Przez kilka najbliższych dni miała głównie pedałowac. Codziennie. Wstajemy i jedziemy. Wstajemy i jedziemy. Zastanawialiśmy się, czy rozumie, co ją czeka.

Plan był z grubsza zarysowany. Chcieliśmy okrążyć wyspę, ale niekoniecznie klasyczną trasą wzdłuż wybrzeża. Ciekawił nas jej środek, zieleń, lasy i parki narodowe. Chcieliśmy także zasmakować plażowego życia, zatopić się w błękitnym wybrzeża i zakopać w piasku. Marzyło nam się też dotrzeć na północ, do klifów, zamków i wzniesień. Było to nieśmiało pragnienie, do którego woleliśmy się nie przywiązywać. Dramatyczne widoki z reguły oznaczają dramatyczną zmianę warunków jazdy, my zaś chcieliśmy ograniczyć czynniki zniechęcające. Miała to być trasa, która pozwoli naszej córeczce uwierzyć w swoje siły i zapali ją do jazdy na rowerze. Tylko że nikt nie wiedział, jaka trasa może to uczynić.

Ponieważ nie wiedzieliśmy, co nas czeka i jak Marysia będzie sobie radzić, założyliśmy tyl-

Bornholm to raj rowerzystów. Ta mała wyspa to też doskonały teren treningowy dla młodych adeptów dwóch kółek



Pyszności, które uwiodły nam podniebienie – wędzone ryby

ko tyle, że będziemy elastyczni. Rozplanowaliśmy pięć etapów, przyjęliśmy, że będziemy przejeżdżać średnio 25 kilometrów dziennie. Cel był zawsze ten sam – kemping, ewentualnie bliższy kemping, na wypadek konieczności wcześniejszego zakończenia pedałowania. I choć byliśmy gotowi zaakceptować każdą niespodziankę, wizja północnych klifów i tak świtała nam w głowie.

Ruszyliśmy. Z Nexø skierowaliśmy się na północ. Kilka kilometrów za miasteczkiem gwałtownie odbiliśmy w lewo, w stronę pól i lasów. Z tą pierwszą decyzją zaczęła się układać nasza trasa...

Wyspa zieleni, czyli od Nexø do Stavehø

Dookoła żółto od zbóż falujących na wietrze. Gdzieś tam zagubione domki i samotne młyny. Błękit morza oddala się coraz bardziej. Droga asfaltowa. Ruch samochodowy niemal żaden. Najpoważniejszym zagrożeniem na drodze okazał się kombajn, choć kierowca, mijając nas, zwolnił niemal do zera, oraz żubr, tyle że rowerową ścieżkę od lasu oddzielała siatka. Częstotliwość pojawiania się pytania „daleko jeszcze?” znikoma. Dłuższe przerwy w drodze cztery. Sesje z ciągnięciem na holu dwie.

Po zaliczeniu polnych dróg dotarliśmy do lasu Paradisbakkerne. Morze już dawno straciliśmy z oczu. Zrobiło się zielono, a drzewa

osłoniły nas przed palącym słońcem. Z asfaltu zjechaliśmy na leśne ścieżki, pojawiły się delikatne wzniesienia. Z lasu wychodziły do nas sarny i zające, co cieszyło Marysię. W towarzystwie zwierzaków, nawet krów pasących się na łące, zapomniała o trudach podróży. W lesie jest kilka popularnych tras turystycznych, można zobaczyć potężne głazy narzutowe, polodowcowe jeziora i szczelinowe doliny. Teren ten łączy się z lasem Almindingen, co łącznie daje 20 kilometrów zadrzewionej trasy.

Po drodze nie ma sklepów, knajp ani pół namiotowych. Tylko natura, chroniona przed ludzkim wpływem na tyle, na ile jest to możliwe. Zrobiliśmy przerwę przy punkcie obserwacyjnym, wyjechaliśmy palnik, zorganizowaliśmy kuchnię i przygotowaliśmy ucztę. Bo oprócz rozrywek trzeba pamiętać o napełnianiu małego brzucha, najlepiej zanim poczujemy głód i zacznie się marudzenie. Tak więc my pichciliśmy, a Marysia obserwowała zwierzyńnię. Dalej zobczyliśmy jeszcze nad jezioro Bastemose, które okazało się zarośnięte, oraz nad największy duński wodospad, który okazał się być strumykami. Były to dobre preteksty do zejścia z roweru i pobiegania. Jeżdżąc z dzieckiem, trzeba takie wynajdywać. Zwłaszcza pierwszego dnia podróży, który mógł być decydujący dla dalszego jej przebiegu. Chcieliśmy, aby dzień zakończył się raczej uczuciem niedosytu niż przemęczenia. Mimo to udało się przejechać 33 kilometry. Niepostrzeżenie. Siedem godzin w trasie, z czego niemal cztery spędzone na pedałowaniu.

Jechaliśmy w kierunku Gudhjem, choć noc planowaliśmy spędzić nieco bliżej, na kempingu o obiecującej nazwie „Secret place”. Zasługiwał na swoje miano – ukryty w zaroślach, w dolince, gdzieś za polami. Kuchnia i toalety zaimprovizowane w domku, który zimą służył jako knajpa dla narciarzy. Tuż obok odkryliśmy wyciąg orczykowy, a w stodole wypatrzyliśmy ratrak. Kameralnie i spokojnie. Podobnie urokliwego i spokojnego kempingu mieliśmy na Bornholmie już nie spotkać. Szukając dla Marysi zasłużonej nagrody za wytrwałe pedałowanie, zaczęliśmy wybierać te, które oferują więcej rozrywek dla dzieci, czyli zazwyczaj pola sieci Family Camping.

Wyspa wzniesień, czyli ze Stavehø do Sandvig

Zacznijmy od sensacyjnego końca – dotarliśmy na północny cypel wyspy. Miejsca, o którym myśleliśmy z niepotrzebną nieśmiałością. Tymczasem dojechaliliśmy tu ot tak, po prostu. Co ciekawe, ciągle mieliśmy wrażenie, że jedziemy z górki. A nawet, jeśli było to tylko wrażenie, najważniejsze, że wszystkie podjazdy były do podjechania. Fakt, że czasami na holu lub pchając rower pod górkę, ale nikt nie ▶



MARIUSZ MAMETMAC MAP

TRASA – Nexø > Stavehø > Sandvig > Ronne > Dueodde > Nexø

DYSTANS – 145 km, 5 dni jazdy

MAPY – kierowaliśmy się mapami Google'a do wyszukiwania kempingów i atrakcji po drodze oraz mapami Open Maps (aplikacja Locus) do analizy terenu. Na promie kupiliśmy przewodnik po Bornholmie, raczej dla zabicia czasu, ale okazał się przydatny w wyszukiwaniu lokalnych atrakcji.

DOJAZD – prom z Kołobrzegu do Nexø odpływa o godz. 7.00, a rejs trwa cztery godziny. Kursuje z nieregularną częstotliwością od końca kwietnia do połowy października, pod warunkiem, że nie szaleje sztorm – w okresie wakacji letnich i długiego weekendu majowego prawie codziennie, w pozostałym czasie zwykle dwa razy w tygodniu. Dokładny rozkład rejsów znajduje się na stronie kzp.kolobrzeg.pl/rozklad-rejsow. Na pokładzie można zjeść solidne śniadanie oraz odespać poranną pobudkę. Prom powrotny odpływa z Nexø późnym popołudniem. Koszt biletu w jedną stronę to 140 zł dla dorosłych i 130 zł dla dzieci. Przewóz rowerów to odpowiednio 50 i 25 zł.

ROWERY – crossowe, dla dziecka na 21-calowych kołach. Opcja wypożyczenia sprzętu również wchodzi w grę. W Danii o sklep rowerowy łatwiej niż o stację benzynową. W portowym Nexø znajduje się ich kilka, a wybór modeli jest w nich całkiem spory. Wypożyczyć można także akcesoria, których zapomnieliśmy się zabrać z domu – kask, pompkę, przyczepkę.

DROGI – wszystkie drogi Bornholmu są bardzo komfortowe dla rowerzystów. Większości dróg asfaltowych towarzyszy osobna ścieżka lub wydzielony pas dla rowerów. Nawet jeśli ich nie ma, nie ma potrzeby się martwić – kierowcy są bardzo uważni. Ruch samochodowy jest niewielki, jednak warto go unikać, kiedy jedźmy z dziećmi. Polecamy ścieżki rowerowe, nawet jeśli prowadzą do celu nieco dłuższą drogą. Pozwalają lepiej przyjrzeć się okolicy i swobodniej pedałowac. Zazwyczaj są to leśne lub polne dukty.

POGODA – Bornholm jest wyspą. Należy więc przyjąć, że pogoda może się szybko zmienić. Zazwyczaj jest wietrznie, często deszczowo. Choć kalosze i przeciwdeszczowe ubrania wzięliśmy ze sobą, tym razem nie użyliśmy ich ani razu. Zdecy-

dowanie bardziej przydawał się krem przeciwśloneczny. Za to wieczory, jak na lipcowe, bywały całkiem chłodne.

EKWIPUNEK – wszystko, co niezbędne: dom, kuchnię, zapasy jedzenia, rzeczy osobiste, foteckę i misia oraz komputer – zapakowaliśmy w osiem sakw. Dopóki nie zaczęliśmy pakowania, sami nie wierziliśmy, że to się uda. Najwięcej miejsca zajęł zestaw ubrań na niepogodę, ani razu niewykorzystany.

SPALIŚMY W NAMIOCIE. Lekkim, małym, łatwym do rozstawienia, dwuosobowym, który idealnie pasował do naszej trójki. Do tego cienkie i leciutkie dmuchane maty, spiwory i posłanie gotowe.

BIWAKOWANIE – na wyspie jest wiele kempingów. Najczęściej korzystaliśmy z sieciowych pól Family Camping, idealnych dla rodzin. Zazwyczaj pięknie usytuowane, dobrze zorganizowane i komfortowo wyposażone. Brakuje na nich tylko prywatności i kameralności. To olbrzymie pola. I niezbyt tanie. Koszt noclegu dla trzyosobowej rodziny z namiotem to ok. 150 zł (ciepła woda pod prysznicem dodatkowo płatna). Przy wizycie na pierwszym polu tej sieci należy wykupić kartę członkowską za ok. 70 zł. Tańsze są kempingi prowadzone przez gospodarzy przy ich domach lub przy małych hotelikach. Są mniejsze, bardziej kameralne, tyle że brakuje na nich placów zabaw, a niekiedy również kuchni. Uwaga: w Danii nie można rozbić się na dziko!

JEDZENIE – wzięliśmy ze sobą, w tym ulubione i sprawdzone liofilizaty. By urozmaicić dietę, testowaliśmy lokalne spejtały – wędzone ryby i wyjątkowo dobre frytki.

DZIECI – wyspa jest idealna na rowerową wycieczkę z maluchami. Trasę można dostosować do możliwości i upodobań najmłodszych rowerzystów. Bez problemu uda się zaplanować wycieczkę plażową, leśną, z podjazdami lub zupełnie płaską. Teren jest mało wymagający, a klimat raczej przyjemny. A przede wszystkim po drodze jest co robić, zaś atrakcje to ważna część podróży z dzieckiem. Pola sieci Family Camping to idealne rozwiązanie biwakowe dla rodzin z dziećmi. Można na nich niemal zapomnieć, że podróżuje się z dzieckiem.



Zielone pola, żółte zboża i błękitne morze to kolory Bornholmu

marudził. Co ważne, podjazdy prowadziły do fajnych miejsc – portowego miasteczka Gudhjem, malowniczych „świętych skał” Helligdomsklipperne czy stacji benzynowej z lodami. Marysia ukuła nawet pojęcie „magicznej górkę”, czyli takiej, która z daleka wygląda jak góra, ale zmniejsza się w miarę podjeżdżania. Czary, nieprawdaż?

Pytanie „daleko jeszcze?” zaczęło się pojawiać na ostatnim, nieco nużącym etapie drogi. Sesji na holu było więcej, ale pozwoliły one poćwiczyć technikę jazdy. Jeden jego koniec przypinaliśmy do kierownicy naszej córki, drugi do któregoś z naszych siodełek. Najważniejsze w tej sztuce jest nauczyć się kontrolować napięcie liny, zwłaszcza na drodze z górki. Czasami trzeba było odpiąć linę od siodełka i trzymać ją w ręku, by lepiej reagować na awaryjne sytuacje. Generalnie to prosta rzecz (zakupiliśmy zwykłą żółtą linę holowniczą na stacji benzynowej), która okazała się genialnym rozwiązaniem na kryzysowe sytuacje w drodze.

Do Gudhjem, zwanego duńskim Capri, zajęliśmy na śniadanie i tu odkryliśmy

słynne bornholmskie wędzarnie ryb. Radość dla oczu i rozkosz dla podniebienia! Dalej była przerwa na chłonięcie pięknych widoków. Za Helligdomsklipperne, szukając mniej ruchliwej drogi, znowu oddaliśmy się od wybrzeża. Pytana „drogą czy ścieżką?”, Marysia zawsze wybierała to drugie. Ścieżki z reguły były dłuższe, za to bardziej malownicze i spokojniejsze. Jadąc, można było pogadać, pośpiewać lub pograć. Była też okazja do robienia zakupów na przydrożnych samoobsługowych straganach – gospodarze wystawiają na nich cokolwiek mają do sprzedania, a obok stoi skarbonka. Można kupić owoce, warzywa, miody, a nawet używane zabawki.

Taką właśnie drogą dojechaliśmy do kempingu w Sandvig. Już nie tak cicho i kameralnie jak poprzedniej nocy, za to z widokiem na morze, górką do turlania się, a przede wszystkim wielką dmuchaną trampoliną. Mimo przejechania 29 kilometrów i sześciu godzin w drodze, czuliśmy się rześko i radośnie. I zafundowaliśmy sobie kilkukilometrową pieszą wycieczkę do miasta.



Przydrożny samoobsługowy sklepik z ekologicznymi produktami

Trzeba pchać, czyli z Sandvig do Ronne

Trasa stała się wyjątkowo malownicza, wszak dotarliśmy do północnego cypla wyspy, pełnego wzniesień, klifów i dramatycznych widoków.

Opuściliśmy Sandvig, objechaliśmy jezioro Hammersø i już na dzień dobry zrobiło się jakoś pod górkę. Zmierzaaliśmy do pozostałości po średniowiecznym zamku Hammershus, jednych z największych ruin w północnej Europie. Trochę się tu zasiedzieliśmy, ale było warto. Toż to fantastyczny plac zabaw dla dzieci, nawet jeśli nie lubią się bawić w rycerzy.

Z zamku skierowaliśmy się w stronę miasteczka Hasle, najstarszej osady na wyspie, słynącej z najstarszych wędzarni ryb. Choć wizja pysznej kolacji pchała nas do przodu, 13 kilometrów, jakie mieliśmy przed sobą, okazało się najdłuższym odcinkiem naszej wyprawy. Droga wiodła z górki i pod górkę, z górki i pod górkę. Tym razem jednak górki nie były magiczne i nie chciały się zmniejszać. Były strome, szutrowe, koła się ślizgały, a nam zdarzało się lądować na ziemi. Pod górkę było ciężko, a z górki wcale nie lżej. Marysia wolała sprowadzać rower, zamiast rzucać się szaleńczo w dół.

Dojechaliśmy do Jons Kapel, niezwykle malowniczego skalnego urwiska. Chcieliśmy ochłodzić się na kamiennej plaży, jednak zobaczywszy schody, które do niej wiodły, podaliśmy się. Zmęczenie wzięło górę nad wrażeniami. Tuż za urwiskiem kończyła się najbardziej górzysta część trasy. Przed sobą mieliśmy długi zjazd pustą asfaltową drogą, wzdłuż pięknego wybrzeża, przez wioski pełne uroczych chat, przydomowych wędzarni ryb i małych portów. Było tak pięknie, że zapomnieliśmy o trudach i zmęczeniu. Spokój, cisza, dzikie ptaki i piękna droga.

Do Hasle dojechaliśmy resztkami sił i tak wygłodniałymi, że rzuciliśmy się na wielką porcję frytek w pierwszej napotkanej budce z jedzeniem. Dopiero potem ruszyliśmy szukać wędzarni i miejsca na spędzenie nocy. Ale daleko nie do-

tarliśmy, bo drogę zagroził nam maraton. Nie mogąc odnaleźć się w zamieszaniu, jakie opętało miasto, spięliśmy siły, by dojechać do Ronne. Droga była prosta, lecz każdy kilometr wydłużał się dwukrotnie. I kiedy już zdawało się, że naszej córce definitywnie zabrakło sił, ujrzeliśmy kemping i chyba nigdy jeszcze nie byliśmy tak bardzo uradowani tym widokiem. A kiedy jeszcze znalazła się wielka trampolina, nawet siły cudownie wróciły.

To był długi i pełen wrażeń dzień. Nie liczyliśmy, ile razy padło „daleko jeszcze?”. Przejechaliśmy 32 kilometry. W trasie byliśmy siedem godzin.

Prosto na plażę, czyli z Ronne do Dueodde

Częstotliwość pytania „daleko jeszcze?” dotychczas największa. Długość sesji na holu najdłuższa do tej pory. Droga najtrudniejsza, bo najnudniejsza. Na płaskiej i prostej asfaltowej szosie nie było na czym okatrzować. Mi-jane atrakcje to lotnisko oraz winiarnia Lille Gadegård. Zaliczyliśmy oba miejsca, a winiarnię polecamy nie tylko amatorom lokalnych win. Mają tam pyszne burgery z czerwoną kapustą oraz wielką huśtawkę. Tego dnia dojechaliśmy do celu w rekordowym czasie, a droga i tak dłużyła się niemiłosiernie. Trzydzieści cztery kilometry przejechaliśmy w pięć godzin.

Dueodde. Najpopularniejsza i najbardziej zatłoczona plażowa miejscówka na wyspie. Na pierwszym odwiedzonego kempingu nie znaleźliśmy miejsca, na drugim zdobyliśmy ostatnie. Choć na polu tłok, na plaży pusto, ci-



Samochodowy hol okazał się doskonałym rozwiązaniem na awaryjne sytuacje

cho i przyjemnie. Piasek miękki, morze spokojne, a słońce właśnie zaczęło zachodzić nad wydhami. Niby Bałtyk, a jednak jakiś inny.

Bez motywacji, czyli z Dueodde do Nexø

Obudził nas piękny wschód słońca, ale nie było dokąd się spieszyć. Wskoczyliśmy ponownie do śpiworów i długo jeszcze się wylegiwaliśmy. Z trudem dochodziła do nas myśl, że to już ostatni dzień naszej rowerowej wycieczki. Przecież dopiero się rozkręciliśmy, dopiero pięć dni minęło, dopiero jedna plaża, jeden las, jedno klifowe wybrzeże. Jeszcze śniadanie, wizyta na plaży, sesja na trampolinie i leniwie zwinęliśmy nasz dom na kółkach. Ruszyliśmy w stronę portowego Nexø. Zaledwie 15 kilometrów, jak spacer. Droga łatwa,

ale jakoś nie mogliśmy się zmobilizować. Może dla nas była już zbyt łatwa, a może tak działała wizja promu, który miał nas zabrać z powrotem do domu?

Wykończenie trasy

Było to pięć owocnych i ciekawych dni. Przekonaliśmy się, że Marysia może. Co ważniejsze – ona sama się o tym przekonała. Wysła nam bardzo rowerowa wyprawa, gdzie pedałowanie podporządkowało sobie program całych pięciu dni. Być może warto było zostać dłużej, zrobić dzień lub dwa przerwy i pieszo zwiedzić lokalne atrakcje. Być może warto było urozmaicić nieco drugi etap, by nudna trasa tak nie rozleniwiła. Być może, ale i tak wysła nam wyjątkowo udana wycieczka. Teraz zastanawiamy się, czy z przyczepką byłoby znacząco inaczej. ●



Wizytę na plaży zostawiliśmy sobie na deser